Wydanie południowe.

Przedpłata na »Głos Narodu« wynosi:

W Krakowie: rocznie kor. 32·—, kwartalnie kor. 8·—, miesięcznie kor. 2·70. Za odnoszenie dwukrotne dziennie 60 halerzy miesięcznie.

Numer zwykły południowy 14 hal., ranny 4 hal., sobotni południowy 18 hal.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, ZAŁOŻONY W ROKU 1893 PRZEZ JÓZEFA ROGOSZA.

Wychodzi od r. 1900 dwa razy dziennie.

REDAKTOR KIERUJĄCY: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Redakcya i Administracya: ulica Garbarska, 7. — Telefon Redakcyi nr. 309.

Wydanie południowe.

Przedpłata na »Głos Narodu« wynosi:

Na prowincyi: rocznie kor. 40·—, kwartalnie kor. 10·—, miesięcznie kor. 3·40.

Za granicą: kwartalnie kor. 13·— Rocznie kor. 52·—

Nr. 40. **Kraków, Poniedziałek dnia 19 Lutego 1900.** **Rok VIII.**

ODWRÓT CRONJEGO.

Podczas gdy szerokie warstwy ludności Londynu ogarnął szał radości z powodu uskutecznionej i niezaprzeczonej już odsieczy Kimberley, oraz ocalenia osoby Cecyla Rhodesa, — a łatwo zapalnej fantazji tłumów wydaje się już bliskim dzień, w którym Roberts odbędzie swój wjazd do Bloemfontein, koła fachowe stolicy angielskiej bynajmniej nie podzielają tego optymizmu. Przedewszystkiem nie wiadomo dotąd z pewnością, gdzie się znajduje Cronje z główną siłą Boerów i czy Roberts dostatecznie o jego zamiarach jest powiadomiony. Tajemnicze ruchy boerskiego wodza w połączeniu z sukcesami Boerów w północnej części kolonji Przylądka Dobrej Nadziei pod Colesberg i Rennsburg, zagrażającymi tyłom armji Robertsa, poważne budzą w fachowych kołach wojskowych Londynu wątpliwości i obawy. Zabranie przez Anglików konwoju boerskiego, złożonego z 80 wagonów, zostało bezpośrednio potem zrównoważone przez zabranie angielskiego transportu, który prawdopodobnie należał do oddziału podpułkownika Hannaya, złożonego aż z 200 wozów, obładowanych amunicją i zapasami wszelkiego rodzaju, nad rzeką Riet. Uderza przytem także, że dotąd nie zdobyli Anglicy ani jednego działa nieprzyjacielskiego i nie zdołali zabrać ani jednego jeńca. Wobec tych wszystkich okoliczności przeważa w kołach wojskowych zdanie, że jenerał Cronje przynajmniej od tygodnia już przygotował był i rozpoczął swój odwrót i to prawdopodobnie w kilku kierunkach równocześnie, z główną zaś siłą w kierunku północno-zachodnim, w okolice po drugim brzegu rzeki Vaal położone, ażeby tamże pociągnąć za sobą jądro armji Robertsa w teren poprzerzynany, nieprzystępny, dla operacyj większych mas wojska niepodatny.

Zabrana przez Anglików kolumna pociągowa Boerów, była, zdaje się, tylko zakończeniem jednej z wielu pozycyj, pozajmowanych przez Boerów wzdłuż traktu Jakobsdahl-Bloemfontein, a nie głównej pozycji jenerała Cronje.

Dziwnem jest, że Roberts dotąd nie wie stanowczo, czy Boerowie opuścili swe okopy pod Maggersfontein, czy nie. Niepokojącą do najwyższego stopnia jest przytem także wiadomość, że w korpusie jenerała Frencha grasują choroby końskie, i że pożądany jest dla niego „obfity połów nieprzyjacielskich remont“.

Wszystkie te uwagi usposabiają angielskie koła wojskowe w Londynie bardzo sceptycznie odnośnie do widoków ofenzywy Robertsa i Kitchenera na Bloemfontein. Oswobodzenie bronionego tak długo i mężnie Kimberley jest bądź co bądź sukcesem Anglików, ale tylko moralnym, gdyż wobec trzykrotnej przewagi nieprzyjaciela, Boerowie dozwolili bez poważnego oporu Anglikom zbliżyć się i wejść do miasta tego, które zresztą nie ma strategicznej doniosłości i raczej tylko ze względu na zamkniętą w niem osobę Cecyla Rhodesa z taką energją i wytrwałością było oblegane. Angielska opinja publiczna potrzebowała niezbędnie do odzyskania równowagi, jakiej wiadomości pomyślnej po długim szeregu klęsk i niepowodzeń i z tego względu odsiecz Kimberley podziałała na nią ożywiająco i pokrzepiła energię społeczeństwa.

Bardzo poważne są depesze nadchodzące z północnej części kolonji Przylądka Dobrej Nadziei. Otóż potwierdza się wiadomość o ustąpieniu Anglików z Rennsburg, którzy cofając się pospiesznie, pozostawili tam znaczne zapasy i skoncentrowali się około Arundel. Dwie kompanje pułku Witchire zabłądziły podczas pospiesznie i bezradnie wykonywanego odwrotu i dotąd nie powróciły do obozu, zdaje się więc, iż zostały odcięte i zabrane do niewoli. W zaciętej walce, która utorowała Boerom drogę do Rennsburg poległa prawie w całości jedna kompania z pułku Suffolk.

Nagła ofenzywa korpusu Boerów, którym dowodził tamże jenerał Delarey, z Colesberg na Rennsburg ma o tyle nader doniosłe znaczenie, że poprowadzona nieco dalej w kierunku Naauwport i do Aar zagrozi poważnie linji odwrotowej głównej armji Robertsa. Jeżeli Boerom uda się zająć Naauwport i de Aar i choćby tylko na pewien czas przeciąć linję kolejową, łączącą Capetown z tym ostatnim nader ważnym punktem etapowym, okoliczność ta postawiłaby odrazu armję Robertsa w nader niebezpiecznem położeniu, gdyż kolej Capetown-de Aar-Kimberley jest jedyną linją komunikacyjną Robertsa, który wkracza właśnie przez Jakobstadt do Oranji.

Inwazja ta i z innych względów nie da się tak łatwo przeprowadzić, jak przypuszczano z początku w angielskiej kwaterze głównej. Z Modderriver nie prowadzi kolej do Bloemfontein. Na całej tej przestrzeni 150 kilometrów długiej służbę transportową muszą pełnić wozy wołami zaprzężone. Jeżeli zaś jenerał Buller dla swych 25.000 wojska, kiedy wykonywał swój marsz flankowy z Frere na Potgieters-Drift, potrzebował trenu, złożonego z 5.000 wozów, to Roberts, mający pod swymi rozkazami obecnie 50.000 żołnierzy, zapotrzebuje podwójną ilość wozów do transportu żywności i amunicji. Bardzo zaś wątpić należy, czy taką ilość wozów wogóle będzie można zebrać w całej angielskiej kolonji Przylądka.

Jeszcze dnia 7 b. m. dyrektor służby transportowej w Captown obwieścił, że komenda naczelna pragnie wynająć nieograniczoną liczbę wozów, a do każdego wozu po 16 wołów po bardzo wysokich cenach i z poręką wynagrodzenia za wszelką szkodę, co jest dowodem, że na kilka dni przed rozpoczęciem się ofenzywy Robertsa armja jego cierpiała jeszcze na dotkliwy brak środków transportowych.

Przed rozpoczęciem właściwej ofenzywy na Bloemfontein będzie musiał Kitchener, jako szef sztabu jeneralnego zorganizować na tyłach armji etapy i je wraz z linją kolejową Naauw-Port-de Aar-Kimberley zasłonić silnymi oddziałami wojska przeciw zagrażającym atakom Boerów, którzy nie omieszkają wytężyć wszystkich sił, aby przejmować dowozy i niszczyć magazyny angielskie.

SPRAWA BANKU KREDYTOWEGO w LIKWIDACJI!

Otrzymujemy następujące pismo: „Szanowna Redakcjo! Syndykat akcjonarjuszy gal. Banku kredytowego w likwidacji upoważnił mnie na posiedzeniu dnia 9 b. m. odbytem, do udania się do Szanownej Redakcji z uprzejmą prośbą o zamieszczenie w łamach szanownego pisma załączonego artykułu.

„W wykonaniu uchwały syndykatu, mam zaszczyt przesłać powyższy artykuł wraz z prośbą syndykatu o jego umieszczenie. Z należnym szacunkiem *dr. Leszek Majewski*“.

Załączony komunikat nosi tytuł: „Syndykat akcjonarjuszy gal. Banku kredytowego w likwidacji“, i brzmi:

„Smutne doświadczenia, jakie w ubiegłym roku poczyniło nasze społeczeństwo z powodu zbytniej ufności do zarządów tych instytucyj finansowych, którym publiczność powierzała swój grosz, spowodowały grono wybitniejszych akcjonarjuszy gal. Banku kredytowego, obecnie w likwidacji będącego, do zawiązania syndydatu, celem skutecznej ochrony swych praw.

„Złożono 750 akcyj, co przedstawia j e d n ę p i ą t ą część rzeczywiście wpłaconego kapitału akcyjnego Banku.

„Stało się to tem większą koniecznością, iż jedyni przedstawiciele likwidowanych akcjonarjuszy, jacy w Radzie zawiadowczej Banku galic. dla handlu i przemysłu w Krakowie, zajmującego się likwidacją gal. Banku kredytowego, zasiadali, t. j. pp. Schütz i poseł dr. Wielowiejski, uznali za stosowne już po kilku miesiącach z niej wystąpić, wskutek czego odpadła jedyna bezpośrednia kontrola akcjonarjuszy nad likwidacją ich interesów, która też odtąd odbywa się li tylko przez przedstawicieli tej instytucji, która podjęła się likwidacji jako rentownego dla siebie przedsiębiorstwa.

„Jak nieodzowną jest taka czynność akcjonarjuszy, dowodem tego, iż nad likwidatorami nie ustanowiono, wbrew zasadniczej praktyce i przepisom ustawy, żadnej komisji rewizyjnej a podanie, wniesione imieniem syndykatu do komitetu likwidatorów z prośbą o dozwolenie zapoznania się z treścią uchwał i dokumentów, na podstawie których likwidacja uchwalona została i które sposób jej prowadzenia ustanawiają, zostało po upływie miesiąca przez komitet likwidatorów odrzucone pod pozorem, jakoby ani ustawa ani statut żądania takiego nie uzasadniały.

„Tego samego losu doznało również żądanie syndykatu zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia celem sprawozdania z dotychczasowego przebiegu likwidacji i obrania komisji rewizyjnej.

„Oczywiście syndykat, nie uznając podobnej arbitralności, postanowił zażądać pomocy władzy celem osiągnięcia całkiem naturalnego żądania i będzie z całą konsekwencją i spokojem dążył do warowania praw swoich członków, oraz do wykrycia właściwych powodów tak nagłej likwidacji gal. Banku kredytowego.

„O dalszych losach tej społeczeństwo interesującej akcji, będziemy czytelników naszych uwiadamiać“.

Ks. Jażdżewski i min. Rheinbaben.

Z depesz pobieżnych znają czytelnicy przebieg dyskusji w Sejmie pruskim nad etatem ministerstwa spraw wewnętrznych, dyskusji, która dała powód ministrowi Rheinbabenowi do bryzgania jadem na Polaków i posłowi księdzu drowi Jażdżewskiemu do obrony naszej sprawy. Obiecaliśmy wówczas podać dosłownie tekst ważnej mowy ks. dra Jażdżewskiego, dającej wymowny obraz ciepień, przez jakie przechodzi społeczeństwo nasze pod zaborem pruskim. Ks. dr Jażdżewski mówił, jak następuje:

I. Mości Panowie! Pan minister spraw wewnętrznych rozwinął przy pierwszem czytaniu etatu d. 17 stycznia niejako swój osobisty program co do wykonywania i ukształtowania administracji mej rodzinnej prowincji i, jak przypuszczam, także Zachodnich Prus, przyczem dołączył pewne ogólnikowe skargi i zarzuty przeciw mym rodakom, na które muszę choć krótko odpowiedzieć, ponieważ sądzę, że pan minister pod wielu względami na zupełnie fałszywej znajduje się drodze i bardzo szczególne, zupełnie fałszywe ma zapatrywania i dlatego mniemam, że jest zupełnie na

miejscu, żebyśmy wewnętrzne polityczne stosunki naszych rodzinnych prowincyj, mianowicie o ile to dotyczy administracji, właśnie przy tym tytule w spokojny i rzeczowy sposób omówili i wyjaśnili. Co do siebie, będę się o to starał.

Minister spraw wewnętrznych w odpowiedzi na moją odnośną mowę z dnia 17 stycznia r. b., dosłownie przyznał, że nie jest zadaniem rządu niepokojenie i unieszczęśliwianie ludu. Poszedł jeszcze dalej, powiedział, że szczytem jego zadania jest uspakajanie ludu w pozytywny sposób i uszczęśliwianie go, o ile to wogóle w ramach polityki rządu jest możliwe i zapewniał, że tak on, jak rząd gorące mają życzenie, także w dziedzinach objętych ministerstwem spraw wewnętrznych, dawać wszystkim obywatelom państwa, jakiegokolwiekby używali języka, równą opiekę i równe prawo, a jeżeli niestety stosunki w Poznańskiem nie są tego rodzaju, jakby sobie należało życzyć, to, jak powiedział, wina nie spada na rząd, tylko wyłącznie na Polaków. Tę sprawę pragnę właśnie wyjaśnić.

Czytałem niedawno oświadczenie b. naczelnego prezesa Księstwa, barona Wilamowitza, w *Kreutz Ztg*, które dla mnie jest do pewnego stopnia punktem wyjścia dla moich uwag odnośnie do zarządu mej prowincji rodzinnej.

Niedawno zamieściła *Koelnische Ztg* artykuł z napisem „Nemezys systemu Wilamowitza", w którym powiedziano: „Były naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego, baron Wilamowitz, był, jak wiadomo, najgorliwszym szermierzem najzgubniejszej, jaka być może, polityki pojednawczej, której mądrość streszczała się w tem, żeby jak najdalszem uwzględnianiem życzeń Polaków wychować ich na lojalnych pruskich poddanych".

Na te wywody *Koelnische Ztg* odpowiedział był naczelny prezes: „Oświadczam, że nigdy takich zasad nie miałem i nigdy ich nie wykonywałem!"

Oświadczenie to byłego naczelnego prezesa z różnych stron różnie oceniano i częściowo także ostro krytykowano i potępiono. Mości panowie, ja pojmuję to istotnie cenne oświadczenie w tym sensie, że twierdzenie *Koelnische Ztg*, jakoby podczas urzędowania p. Wilamowitza istniały wogóle jakieś ustępstwa i polityka pojednawcza ze strony rządu względem Polaków i ich życzeń i jakoby te ustępstwa i polityka pojednawcza zaznaczały się w obrębie jego polityki administracyjnej, jest jego zdaniem nieprawdziwe i dlatego były naczelny prezes mógł słusznie potwierdzić, że podczas jego urzędowania w naczelnem prezydjum nie robiono Polakom dalszych ustępstw, czyli, jak się wyraża, nie popierano ich, jak to istotnie *Koelnische Ztg*, co prawda, fałszywie, twierdziła. Tylko w tym i tylko w tym sensie uważam oświadczenie b. naczelnego prezesa, jako rzeczowo zgodne z prawdą.

Cofając się pamięcią w długie lata przynależności naszej do Prus, robimy smutne doświadczenie — także i w ostatnim lat dziesiątku — że polityka pruska istotnie, z pewnemi odmianami, z świadomą celu konsekwencją i nie przebierając wcale w środkach, dążyła do pognębienia Polaków pod względem narodowym i odebrania im środków do rozwoju i utrzymania ducha narodowego i języka narodowego. Jeżeli tak się rzeczy mają, to dziwić się należy, że pan minister spraw wewnętrznych winę za te przykre wzajemne stosunki między obiema narodowościami, jakie rzeczywiście u nas istnieją, zwala jedynie na Polaków, a rząd niemieckich mieszkańców, którzy tę politykę skutecznie i poniekąd namiętnie popierają, zupełnie od winy uwalnia.

W ostatniem dziesięcioleciu, w którem, rzekomo tak wielką miano zauważyć względność rządu pruskiego dla naszych życzeń, my absolutnie takiego doświadczenia nie zrobiliśmy i politykę pojednawczą mało co czuliśmy. Od roku 1886 i tak samo w ostatniem dziesięcioleciu funkcjonowała u nas jak najzaciętsza polityka środków wyjątkowych przeciw na szemu narodowi, a ustawodawstwo wyjątkowo występowało przeciw nam z największą i nieubłaganą surowością i to we wszystkich dziedzinach ekonomicznego i duchowego życia, a jeżeli gdzie w jakim punkcie ujrzeliśmy jaką iskrę względności, to ona wnet gasła, gdyż wtedy ze strony większości ludności niemieckiej przeciw najdrobniejszemu ustępstwu, które miano lub chciano zrobić Polakom, podnoszono protest i rząd wzywano do ciętości („Scharfmacherei") i do bezwzględnego traktowania, jak tego dowodem pielgrzymka do Warcina.

W tych dziesięciu latach dawniejszego zarządu, doznaliśmy tylko jednego jedynego t. zw. ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa, a mianowicie takiego, że po zupełnem wydaleniu z planu szkoły elementarnej nauki języka ojczystego, minister hr. Zedlitz pozwolił na prywatną naukę języka polskiego. Następnie za rządów ministra Bossego zniesiono tę niedostateczną prywatną naukę i w jej miejsce zaprowadzono jeszcze niedostateczniejszą fakultatywną naukę, opisaną tylu klauzulami i ograniczeniami, że ona i szkole ludowej i dzieciom, do niej uczęszczającym, prawie tyle pomaga co nic. To jest cały rezultat owej tak zwanej polityki pojednawczej państwa i jej mądrości w ostatnich 10 latach.

Skoro stosunki tak się ukształtowały, że my ze strony rządu, a szczególnie jego władz administracyjnych nic nie doznajemy, jak tylko niedyczliwości i upośledzenia, nic, jak tylko oddalania najsłuszniejszych życzeń i żądań naszych rodaków, to nie można się dziwić, jeżeli przez to głęboko wzburzenie i niezadowolenie zapanowało nawet w najspokojniejszych warstwach ludności, a jeżeli pan minister otwarcie tutaj wypowiedział w Sejmie, że jest jego obowiązkiem i jego zamiarem stosunki ukształtować tak, aby obywateli państwa uszczęśliwić i uspokoić, to ma do tego aż nadto sposobności i wskażę mu różne dziedziny, w których może w swoim wydziale wykonywać prawo i sprawiedliwość na wszystkie strony, także względem nas, i w których będzie mógł zasklepiać i wyrównywać głęboki rozstrój między narodowościami.

Najprzód sprawa Towarzystw i zebrań! Za rządów ministra Reckego użalaliśmy się, że prawo stowarzyszania się wielorako niesprawiedliwie bywało Polakom ograniczane. Przez dyskusje, mianowicie w parlamencie, i ostre deklaracje przy interpelacjach i obradach etatowych pouczony został były minister, że jego ograniczenie prawa o stowarzyszeniach i zebraniach odnośnie do ludności polskiej i ograniczanie używania języka polskiego na nich, nie polega na prawnej podstawie, a i trybunał administracyjny stanowczo te zapatrywania p. Reckego potępił.

Moglibyśmy więc sądzić, że, skoro Polacy w dziedzinie Towarzystw i zebrań mają i muszą mieć prawo żądać równych konstytucyjnych praw — gdyż one nie są ograniczone żadnemi prawnemi lub konstytucyjnemi przepisami, — że administracja w naszych rodzinnych prowincjach dbać będzie o to, żeby te same prawa, które się przyznaje Niemcom w tej dziedzinie, przyznane zostały także Polakom, i żeby im w wykonywaniu tych praw nie przeszkadzano. Tymcza sem widzimy, że się tu stosuje zupełnie różną miarę.

Najniewinniejsze życzenia ludności polskiej przy pochodach, urządzaniu pewnych zabaw, przedstawień teatralnych, odczytach i t. d., ograniczają u nas władze policyjne prawie we wszystkich miastach i także po wsiach w ten sposób, że Polak czuje na każdym kroku, jak mu konstytucją i ustawami zagwarantowane równe prawo bywa ograniczanem i uszczuplanem i skutkiem tego wywołuje się u ludności wielkie niezadowolenie, a jeżeli to niezadowolenie objawia się czasem w ostry sposób, to niechaj panowie w Izbie i także rząd królewski zbytnie się temu nie dziwią.

Z KRAJU.

Bochnia 18 lutego.

Zebranie z 7 b. m. — Kandydaci. — Mowa prof. Matwija. — Program ludowców na skórze chłopskiej. — Zgromadzenie w Królówce i Lipnicy.

Dnia 7 lutego odbyło się w Bochni zebranie delegatów z powiatu bocheńskiego w celu wysłuchania kandydatów do Sejmu krajowego. Zgromadzenie było

LEW HR. TOŁSTOJ.

WSKRZESZENIE.

ROMANS

(73) (Ciąg dalszy).

Kiedy jednak obecna czynność jego już trwała jakiś czas, a on nie odpowiadał pokładanym w nim nadziejom i nic wybitnego nie dokonał i kiedy później — w walce o byt przez takie same dusze urzędnicze bez zasad, ale z bardzo okazałymi postaciami, które, jak on, nauczyły się odcyfrowywać oficjalne ukazy i je wydawać, wyparty ze swego stanowiska — musiał się podać do dymisji, wtedy dopiero spadła ludziom zasłona z oczu, jak łuski i dopiero wtedy wszyscy poznali, że on nie tylko nie był wyjątkowo mądrym, ale nawet wcale ograniczonym, jakkolwiek nadzwyczaj pewnym siebie człowiekiem, o wcale niewielkiem wykształceniu, którego wiadomości i zdolności z ciężką biedą sięgały wstępnych artykułów z konserwatywnych gazet.

Okazało się zatem, że on innych, mało wykształconych, lecz pewnych siebie urzędników, którzy go z jego stanowiska wyparli, pod żadnym względem nie przewyższał, a i on sam pojmował to bardzo dobrze, a mimo to nic nie mogło zachwiać jego przekonania, że wolno mu rok rocznie żądać wielkich sum z dochodów państwowych i coraz to nowych orderów.

Hrabia Iwan Michajłowicz wysłuchał Niechludowa mniej więcej w ten sposób, w jaki słuchał w dawniejszych czasach sprawozdań swego dyrektora kancelarji, i gdy już wiedział, o co chodzi, przyrzekł siostrzeńcowi swej żony, że go zaopatrzy w dwa listy polecające, z których jeden miał być do senatora Wolffa z departamentu kasacyjnego.

— Bardzo różnie o nim mówią — rzekł — jednak „dans tous le cas c'est un homme tres comme il faut". Jest mi zobowiązany i zrobi, co będzie mógł.

Drugi list polecający hrabiego był wystosowany do jednej wpływowej osobistości z komisji próśb. Sprawa Fedosi Birjukowej, tak, jak ją Niechludow przedstawił, zajęła go bardzo, ale kiedy Niechludow mu przypomniał, że chciał napisać w tej sprawie list do jakiej wysokiej osobistości, odpowiedział, że ta historja jest w rzeczy samej bardzo wzruszająca i że on ją przy sposobności sam opowie, przyrzec jednak nie może nic; prośbę należy wnieść zwyczajnym sposobem. Gdyby się nadarzyła odpowiednia sposobność, myślał sobie, gdyby mnie zaproszono do „petit comité", władzy może przedłożę tę sprawę

Niechludow, otrzymawszy oba listy od hrabiego i list od ciotki do Marjety, wyruszył natychmiast w drogę, aby odszukać wszystkich trzech adresatów.

Naprzód pojechał do Marjety. Znał ją jeszcze jako podlotka z ubogiej arystokratycznej rodziny, i wiedział, że wyszła za mąż za człowieka, który był na najlepszej drodze do zrobienia karjery, o którym jednak doszły uszu jego wcale niepochlebne wieści, i ta myśl dręczyła bezustannie Niechludowa, że musi się zwrócić z prośbą do człowieka, którego nie może poważać. W takich wypadkach odczuwał zawsze rozstrój wewnętrzny, niezadowolenie z samego siebie i wahał się, czy ma mu przedłożyć swoją prośbę, czy też nie, zawsze jednak wybierał to pierwsze. Pomijając, że odczuwał całą przykrość położenia i fałszywość jego jako proszący ludzi z kół, do których już się nie poczuł, którzy go jednak wciąż jeszcze uważali za swego, widział prócz tego, że znowu wpadł na dawne tory i znowu zastosował się do tego lekkiego tonu o luźnych obyczajach, który w tych właśnie kołach panował. Zauważył to już u ciotki Jekateròwny Iwanównej. Już rano, kiedy z nią rozmawiał o najpoważniejszych rzeczach, wpadł w żartobliwy ton.

Wogóle wywarł na nim Petersburg, w którym już dawno nie był, zwyczajny, fizycznie orzeźwiający, duchowo jednak usypiający wpływ; wszystko było tak czyste, wygodne i dobrze urządzone, zwłaszcza zaś ludzie mieli co do moralnej strony, tak niewielkie wymagania, że życie tutaj wydawało się nadzwyczaj lekkiem.

Okazały, czysty, uprzejmy zwoszczyk wiózł go poprzed okazałymi, uprzejmymi i czystymi policjantami po pięknym, obficie skropionym bruku, między wspaniałymi, czystymi budynkami do domu, w którym mieszkała Marjeta.

Przed zajazdem stał elegancki powóz, zaprzężony parą angielskich koni w bogatej uprzęży, a na koźle tronował z długim biczem w ręce, w liberji, w dumnej postawie woźnica, podobny z policzków, tylko do połowy pokrytych bokobrodami, do Anglika

Szwajcar w nadzwyczaj czystej liberji otworzył drzwi do klatki schodowej, gdzie stał gotów do wyjazdu strzelec w jeszcze czyściejszej, bogato galonowanej liberji z wspaniale rozczesanemi bokobrodami, i mający służbę ordynans, również w nowym czystym mundurze.

— Jego Ekscelencja teraz nie przyjmuje; także i Jej Ekscelencja; ona właśnie raczy wyjechać.

Niechludow chciał oddać list hrabiny Jekateryny Iwanówny, wyjął swą kartę, zbliżył się do stolika z książką, w której się zwykle zapisywali odwiedzający, i już umoczył pióro, aby dać wyraz swemu żalowi, że jej nie zastał w domu, gdy w tem nagle strzelec zbliżył się do schodów, szwajcar wyszedł przed drzwi i kategorycznie zakrzyknął: „zajeżdżaj!" ordynans zaś wyprężony, z rękami na szwach spodni, jak gdyby w słup się zmienił, i tylko oczyma śledził niezbyt słuszną damę, drobnych kształtów, która w szybkich ruchach, nie zgadzających się z jej wysoką pozycją towarzyską, zbiegała ze schodów. Była to Marjeta.

Ubrana była w wysoki kapelusz z czarnem piórem, w czarną suknię z czarną zarzutką i nowe, czarne rękawiczki; twarz miała zasłoniętą woalką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

bardzo burzliwe; około półtorej godziny stracono nad wyborem prezydjum tego wiecu, poczem ks. Stojałowski i p. Stapiński w ostrych słowach zaprotestowali przeciw mięszaniu się Rady powiatowej do wyborów z kurji mniejszych posiadłości. Skutek tej mowy był ten, że nie wybrano komitetu ściślejszego. Ponieważ zebrani delegaci nie zajęli jeszcze całej sali, wniósł ks. Stojałowski, aby wpuszczono kilkunastu ludzi przed drzwiami czekających. Po uchwaleniu tego wniosku poszedł ks. Stoj. sam, aby ich zawołać. Weszło ich około 100 wyłącznie stronników ks. St. i rozpoczęły się obrady w sposób burzliwy i prostacki, bo rej wodzili w nich ustawicznie ks. St., Stapiński i Szajer. Początkowo słuchano p. dra Serafińskiego spokojnie, aż kiedy się zwrócił przeciw ks. Stoj. rozpoczęły się głośne obelgi, okrzyki hańba! i wymyślania. Mowa p. dra Serafińskiego, przychylnie przyjęta przez duchowieństwo i inteligencję, ale w znacznej części niezrozumiana przez lud, nie wywarła wielkiego wpływu.

Po nim zabrał głos prof. Matwij, którego mowę przyjęli wszyscy spokojnie i z potakiwaniem, gdyż treść jej nie obrażała nikogo. Najpierw zwrócił Matwij uwagę zgromadzonych na to, że nie powinni kandydata na posła pytać się, co będzie robił w sejmie, ale czem sobie zasłużył na to, aby go wyborcy obdarzyli zaufaniem. Następnie przedstawił zebraniu swoją dotychczasową działalność: Otrzymawszy posadę prof. gimn. w Bochni przekonał się wkrótce o wielkiej ciemnocie mieszczan i rzemieślników bocheńskich, a skorzystawszy z istniejącej już Czytelni mieszczańskiej postanowił stowarzyszenie to obrać za punkt środkowy przyszłej swej działalności. Zostawszy prezesem Czytelni zwrócił najpierw uwagę swą na ruch socjalistyczny w Bochni. Socjaliści bocheńscy, odwiedzani ciągle przez prowodyrów krakowskich, odbywali zgromadzenia swe w niedziele podczas nabożeństw w szynku żydowskim obok kościoła. Korzystając z oburzenia powszechnego zwołał Matwij dwa zgromadzenia inteligencji do sali Rady miejskiej i na nich postanowiono założyć stowarzyszenia „Ojczyznę“ dla młodzieży rzemieślniczej i „Pracę“ dla robotników. Założeniem „Ojczyzny“ zajął się sam przy pomocy ludzi chętnych, a „Pracę“ założyło Tow. św. Wincentego a Paulo. Ponieważ założenie tych stowarzyszeń nie wystarczało jeszcze do zupełnego pokonania socjalizmu, urządził Matwij pogadanki dla rzemieślników i mieszczan, na których on sam i zaproszeni przez niego prelegenci pouczali zgromadzonych o różnych kwestjach bieżących. Gdy mu na te pogadanki odmówiono sali magistrackiej i „sokolej“ udzieliła mu Rada szkolna krajowa pozwolenia na użycie jednej z klas szkoły ludowej.

Skutek był zupełny, socjaliści w Bochni nie mieli już punktu oparcia i wypuścili miasto ze swej opieki. Chcąc mieć jakąś styczność z ludem, jeździł Matwij do Królówki, Troszówek i Woli Batowskiej, aby włościan pouczyć i w zasadach uczciwych utrwalać. Brał też udział w założeniu „Przyjaźni“ w Rzeszowie, przewodniczył na zebraniu delegatów stowarzyszeń robotniczych w Tarnowie, a zastępował przewodniczącego w Krakowie, przemienił razem z drem Serafińskim charakter „Czytelni mieszczańskiej“, zmieniwszy jej nazwę na „Czytelnię katolicką“. Odwołał się następnie do świadectwa zgromadzonych, że przez 13 lat swego pobytu w Bochni żadnemu dziecku włościańskiemu nie uczynił najmniejszej krzywdy i że wielu włościan z zupełnem zaufaniem zwraca się do niego z prośbą o poparcie, jeżeli synowie ich jakiej opieki lub pomocy potrzebują.

Cała ta mowa, wygłoszona spokojnie i bez przesady, wywarła na wszystkich przyjemne wrażenie, porównywano ją z namiętnym i drwiącym tonem innych mowców, a nawet ks. Stojałowski, który żadnemu z kandydatów nie przepuścił, przeciw prof. Matwijowi wystąpić nie śmiał. Po nim zabrał głos ks. Stojałowski, który, roznamiętniony ciągłem przerywaniem mu i zaprzeczaniem, zdołał mówić przez 3 godziny bez związku o tem, co mu, jak to mówią, „ślina na język przyniosła“. Doktorowi Bardlowi, który powiedział ciekawy frazes „program nasz wypisany na waszej skórze“, zebrani nie dali przyjść do słowa. Widoczną było rzeczą, że między stronnikami Stojałowskiego a nim samym są jakieś umówione znaki, które były hasłem do krzyków i wymyślań. Mowami Stapińskiego i Szajera, przepełnionemi jadem nienawiści przeciwko wszystkim przeciwnikom politycznym, zakończyło się zgromadzenie o godzinie 6 wieczorem.

W piątek odbyło się zgromadzenie przedwyborcze w Królówce, oddanej ks. Stojałowskiemu; w niedzielę w Lipnicy. Na obu zebraniach przemawiał także prof. Matwij.

ZE SWIATA.

Tryjest 18 lutego.

Pragnienie równouprawnienia u południowych Słowian. — Ucisk ze strony Niemców, Włochów i Madziarów. — Żale do Polskiego Koła. — Krótkowidztwo Polaków. — Towarz. polskie w Wiedniu.

Konstytucja wszystkim narodowościom przyznaje równouprawnienie na papierze; dlaczego po 50 latach nie można zasad równouprawnienia przeprowadzić w praktyce? — pytają Słowianie w południowych prowincjach Austrji? Kiedy rozpoczęto konferencje ugodowe między Czechami i Niemcami w Wiedniu, spodziewali się Słoweńcy i Kroaci, że i o nich nie zapomnieli. Daremne nadzieje! Śląsk wykluczono od obrad ugodowych, a o Kroatach i Słoweńcach nie wspominano wcale.

A jednak położenie Słowian na południu jest pożałowania godne. Czesi jednego tylko mają wroga, który ich gniecie, Niemców, południowi Słowianie mają ich naraz trzech: Niemców, Włochów i Węgrów. Nie dziwota, że pod takim naciskiem ledwie dyszą i godni są litości i wsparcia od północnych braci. W Styrji i Karyntji hulają Niemcy w najlepsze i w ciągu kilku stuleci połowę ludności słowiańskiej wynarodowili. Resztkom pozostałym żadnego gimnazjum przyznać nie chcą.

W krainie północnej rej wodzą Niemcy, na południu Włosi, pomimo, że większość ludności stanowią Słoweńcy. Zaledwo w Lublanie jest niższe gimnazjum z językiem wykładowym słoweńskim. Na pobrzeżu i w Istrji rządzą znowu Włosi, którzy stanowią 20 procent ludności, wspólnie z Niemcami. Gimnazja są włoskie i niemieckie, a dopiero w tym roku założono w Parin 1 klasę słoweńską. W Kroacji hulają Włosi i Węgrzy, w Dalmacji znowu Włosi, pomimo, że w całym kraju jest zaledwo 30 tysięcy prawdziwych Włochów. Kiedy Austrja po rządach weneckich objęła te kraje, zostawiła język włoski w sądach i urzędach, zamiast zaprowadzić język niemiecki. Dziś, kiedy świadomość kroacka wzrosła, języka niemieckiego wprowadzić nie może, a włoskiego jedynie dlatego usunąć nie chce, ponieważ każdy Niemiec jakąś dziwną niechęć żywi ku Słowianom, więc gniecie ich w jakikolwiek sposób, jeżeli sam nie może, to bodaj przez drugiego.

Rzecz dziwna jak wielkiem jest zaślepienie polityków austrjackich pod tym względem. Wiedzą doskonale, że Włosi są irredentystami, że przez swoją Ligę narodową pracują nad oderwaniem prowincyj południowych od Austrji, że więc śmiertelnymi są wrogami całości monarchji, a jednak patrzą na robotę irredentystów przez palce, a niecierpią lojalności Słoweńców z tej jedynie przyczyny, że ci Słoweńcy i Kroaci są Słowianami.

W oczach Niemca największym wrogiem niemieckości jest Słowianin. Dla każdej narodowości mieć będzie Niemiec sympatje, nawet dla djabła, tylko dla Słowianina nigdy. Dlatego Niemcy austrjaccy pozwalają bezkarnie uciemiężać Włochom, Węgrom i żydom, a w Bośni Turkom — Słowian. Jeżeli wypadnie sprawa między Słowianinem a Włochem lub żydem, to zawsze niesłuszność jest po stronie Słowianina.

Obecnie Austrja stoi na przełomie. Ludności słowiańskie domagają się równouprawnienia w czynie. Walkę rozpoczęli Czesi żdawało się, że Polacy poprą ludy słowiańskie raz przez poczucie sprawiedliwości, powtóre w interesie całości państwa i jego potęgi, w końcu przez pobudki szczepowe. Tymczasem szanowne koło polsko-żydowskie usiło sobie rgce od wszystkiego — niby to z obawy przed kwestją ruską w Galicji. Głośno narzekają Słoweńcy i Kroaci na tę politykę krótkowidztwa koła polsko-żydowskiego. Kwestji ruskiej macherstwem i protekcyjkami Niemców nie zabiją, a przed jej groźbą pozwalają na wynaradawianie swych własnych braci Polaków Śląska i Bukowinie. Kroaci mają dobre oczy i dobrze nas sądzą. Mówią, żeśmy powinni pilnować swoich chłopów przed żydami, a we wschodniej Galicji starać się o zachowanie rodzonych braci przed zruszczeniem. To nasz cel, to nasz obowiązek. Tymczasem koło polsko-żydowskie cały swój spryt wytęża w tym kierunku, aby Rusin nie napisał listu do starostwa po rusku bo wówczas światby się zawalił. Żydowi pisać do urzędów wolno po niemiecku, ale Rusinowi po rusku wara. Ale temu Rusinowi kraść dusze Polaków w Galicji zachodniej to wolno — Rusinowi, wójtom i pisarzom uciskać kolonistów mazurów wolno! Na istotne straty zamykamy oczy, a boimy się błachostek!

Wiele wrzawy narobiła w słoweńskich pismach wiadomość, że gdy w Wiedniu towarzystwo słoweńskie zaprosiło na wieczorek ku uczczeniu ich poety towarzystwo akademików Polaków, jako swych pobratymców, ci panowie odpisali im w tych słowach: „My nie jesteśmy Słowiami, więc proszę nam podobnych zaproszeń nie posyłać nigdy“.

Nie wiem, czy to żart, lub czy ci panowie są szlachcicami tego kroju, którzy w Galicji powiadają, że stanowią odrębną rasę napływową, a z polskim narodem nie mają nic wspólnego, prócz języka, którego używają z konieczności. Ale lepiej byłoby, gdyby na zaproszenie nie odpowiadali, jeżeli udziału w wieczorku nie chcieli brać. Dziś głoszą Kroaci i Słoweńcy na podstawie tego listu, że Polacy wypierają się przynależności do rodziny Słowiańskiej, że są zdrajcami, że więc dlatego w sprawie ugodowej trzymają z Niemcami.

KRONIKA.

Kraków, d. 19 lutego.

Kalendarz kościelny. W poniedziałek Konrada, wyznawcy i Mansweta, biskupa: we wtorek Leona, biskupa i Zenobjusza, kapłana; w środę Eleonory, panny.

Kalendarz myśliwski. Od 1 lutego wolno polować na: rogacze (samce sarn), głuszce, cietrzewie, dropie i pardwy, oraz na ptactwo wodne i błotne w ogólności. Dziki i lisy należy tępić.

Przez cały rok nie wolno polować i należy ochraniać: łanie, sarny (kozy), cielęta i spiczaki, tudzież samice głuszczów i cietrzewi.

Kalendarz rybacki. W lutym wolno łowić wszelką rybę, jeżeli ta posiada przepisaną miarę.

Ochraniać należy jedynie raka, tak samca, jak i samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się w poniedziałek o g. 6 minut 44 zachód przypada o godz. 5 minut 5, długość dnia godzin 10 minut 21.

Stan powietrza Dnia 19 go lutego o godzinie 7 rano barometr 744 4 termometr +0 2 wilgotność 88 %, wiatr zachodni 6.

Repertuar teatru miejskiego.

W poniedziałek, dnia 19 b. m.: Przedstawienie amatorskie.

We wtorek, dnia 20-go b. m.: **„Sumienie dziecka“** (La conscience de l'enfant), komedja w 3 aktach Gastona Devore (po raz 3).

W środę, dnia 21 b. m.: **„Pan Damazy“**, kom. konkursowa w 4 aktach J. Bliżińskiego (przedstawienie popularne).

We czwartek, dnia 22 b. m.: **„Rodzina Benoitonów“**, kom. w 5 aktach W. Sardou (po raz 3).

W piątek, dnia 23 b. m.: Teatr zamknięty.

W sobotę, dnia 24 b. m.: **„Bogaty wujaszek“**, komedja w 4 aktach C. Karlweisa [nowość].

W niedzielę, dnia 25 b. m.: **„Bogaty wujaszek“**, komedja w 4 aktach.

Z dnia na dzień.

„Ponieważ nie gram na żadnym instrumencie, a lubię muzykę, wymagam więc, aby mąż grał przynajmniej na jednym, choćby dla uprzyjemnienia chwil smutnych, jakie i w najgodniejszem małżeństwie muszą się znaleść“.

Jest to przedostatnie życzenie p. Krachelskiej w odpowiedzi na warunek mego doktora, aby przyszła jego żona nie grała na fortepianie.

W rozmowie z doktorem zaczepiłem i o tę kwestję i oto taka mniej więcej była jego odpowiedź:

„Przedewszystkiem jestem przeciwnikiem manji fortepianowej. Talent da się odrazu poznać i przeciw kształceniu jego nic mieć nie można. Ale grać na fortepianie uczą się u nas dziesiątki tysięcy panien bez talentu, które lepiejby zrobiły, gdyby czas stracony obróciły na naukę pożyteczniejszą, lub czytanie dobrych książek. A szkoda i zmarnowanych pieniędzy.

„Co do mnie, mam na myśli warunki, w jakich żyję. Lubię muzykę dobrą, więc męczarnie sprawiałaby mi żona, bębniąca nędznie na fortepianie, a na sto muzykalnych kandydatek do stanu małżeńskiego, jest takich bębniących 95. Ale możebym natrafił na jedną z tych pięciu, a to jeszcze gorzej, proszę bowiem nie zapominać, że żyję i żyć dalej pragnę w mieście prowincjonalnem. Opowiadano mi, jakie jeden z starszych moich kolegów miał rozkosze z powodu muzykalności żony. Naprzód dwadzieścia pań i panien, znęcających się w mieście X. nad Chopinem, zapałało ogromną zazdrością po przekonaniu się, że doktorowa ma rzeczywisty talent muzykalny. Ale mniejsza o powstałe stąd plotki, a nawet o t. zw. komeraże, będące specjalnością miast mniejszych. Stała się rzecz gorsza: z żony mojego kolegi zrobiono „koncertantkę“. Nie obszedł się bez niej żaden wieczorek patrjotyczno-towarzyski, żaden koncert na cel dobroczynny. Rosły stąd wydatki na toalety i na przyjęcia muzykalnych X-szczan — w domu przybyło kłopotu i nieporządku coniemiara.

„Pani wciąż dla wprawy ćwiczyła się, sprowadzała nuty, wyjeżdżała do Krakowa dla przysłuchania się przejeżdżającym głośnym artystom. Pacjentów przez to nie przybywało, ale za to przybywały... stosunki, wzrastała liczba wielbicieli „naszej znakomitej artystki“. Okoliczna „szlachta“ zapraszała do siebie i rewizytowała, co nową dziurę robiło w kieszeni. Każdy wieczorek u pani „starościny“ musiał być zaszczycony obecnością doktorowej, z „dodatkiem“ do toalety. W gazetach coraz częściej „stało“ o talencie pani konsyljarzowej. Na domiar złego panny „staro-

ścianki" prosiły „złotej, kochanej pani" o pomoc w podróży do wyżyn sztuki. Od rana do wieczora jęczał u doktora fortepian: grała żona, grała siostra żony, ćwiczyły się starościanki. Po pięciu latach „powodzenia" żony, doktór był zdenerwowany i zadłużony. Zdobył się więc na odwagę i pomimo płaczów pani i oburzenia wielbicieli jej talentu, przeniósł się do takiego małego miasteczka, w którem jedynym znawcą muzyki był organista".

„Tak, kochany Obserwatorze — kończył doktor — można mieć żonę wysoce muzykalną, ale u was w Krakowie, gdzie jest takich utalentowanych kilkadziesiąt, a o ich talencie wiedzą tylko kółka dobrych znajomych i przyjaciół"...

Ale p. Krachelska w końcu listu dodaje: „Nie znalazłam dotąd amatora, z czego więc będę żyła, nie umiejąc nic nad to, co na dobrą żonę potrzeba?".

W zapytaniu tem mieści się zarazem i twierdzenie: ze znajomością gry na fortepianie łatwiej mi przyjdzie znaleść kawałek chleba.

Po małej uwadze, że wszystkie młode i stare panny nie mogą być nauczycielkami muzyki, przytoczę z życia pewien fortepianowy przykład.

Żyła w Krakowie przed 25 laty bardzo zacna osoba. Miała skromny mająteczek, wynoszący 18.000 złr., a oprócz niego córkę i siostrzenicę, ubogą sierotę, którą przytuliła po śmierci rodziców. Procent od kapitału wystarczał na bardzo skromne utrzymanie, ale nie na „danie wyższego wykształcenia", t. j. na osobne lekcje francuskiego i fortepianu. Córka „musiała" się tak kształcić — siostrzenicy zostawiono wolny wybór. Przed 15 laty obie panny były na wydaniu — jedna z językami i muzyką, a druga z buchalterją.

Matka przeniosła się potem do Warszawy i umarła we dwa miesiące po wydaniu córki za mąż, zostawiając jej mająteczek, uszczuplony przez wydatki na „wykształcenie" i wyprawę. Mąż córki zmarł po 5 latach, zostawiając jej troje dzieci i ów posag, wynoszący 10.000 rs. Trzeba było wychować i wykształcić dzieci z procentu od tej sumy. Trudne zadanie. Ale wdowa, to kobieta zacna, poświęcająca się, a choć chorowita, to i pracowita. Przeniosła się na prowincję, bo tam życie mniej kosztuje. Z wysiłkiem oddaje się nauczycielstwu, aby dopracować, czego nie dostaje.

Widziałem ją niedawno. Upada ze znużenia, ale jest szczęśliwa, że... uczyła się grać na fortepianie.

Zarabiam — mówiła — przeszło 400 rs., ale nie zarobiłabym i 250, gdyby nie forepian. — Nie wyprowadzałem jej z błędu.

Wiem ile kosztował ją „fortepian". Uczyła się lat 8, początkowo „godzina" była po 50 ct., potem po 1 złr., skończyło się na godzinie po 4 złr. Śmiało można powiedzieć, że nauka ta przez lat 8 kosztowała 3.000 złr. Dodajmy do tego dwa fortepiany: do nauki i do wyprawy-, a otrzymamy 4.000 złr., które gdyby były składane i przez lat kilka procentowały się choć troszeczkę, mielibyśmy 5.000 złr. Procent od nich na hipotece po 6 prc. liczmy 300 złr., które więcej znaczą niż owe 150—200 rs., jakiemi cieszy się poczciwe matczysko trojga dzieci.

A ciężka praca, to nic? — a odrywanie się od dzieci, od domu, to także nic? a 5000 złr. więcej zostawić dzieciom, to również nic? Poczciwinie jednak zdaje się, że zrobiła interes na fortepianie.

Siostra jej cioteczna nie znalazła dotychczas amatora, równie jak p. Krachelska. Ma jednak w Warszawie miejsce w kantorze wielkiego przedsiębiorstwa. Od pensji rocznej 240 rs. doszła do 600 rs. Ma spokojny, pewny, stały kawałek chleba. Odwiedziłem ją i zauważyłem, że wszyscy jej koledzy biurowi są dla niej z wysokim szacunkiem, a jeden tak wyglądał, jakby miał zamiar zmienić szacunek, a raczej uzupełnić go... obrączką złotą.

Znając pokojowe usposobienie p. Krachelskiej, nie myślę twierdzić, że ta obrączka może zastąpić kobiecie fortepian, — ale poważam się przypuszczać, że naukę gry na tym instrumencie, kosztującą wiele pieniędzy i wiele czasu, można zastąpić nauką tańszą, praktyczniejszą i pożyteczniejszą dla społeczeństwa, — nie mówię: dla męża, bo „któżby tam o męża dbał!"

Ps. W tej chwili otrzymuję drugi, już nie żartobliwy, lecz bardzo rozumny list od p. Krachelskiej. *Głos* wydrukuje go w całości — a ja na razie przepraszam moją „przeciwniczkę" za wszelkie złośliwe docinki. *Obserwator I.*

Z sądu. Sprawą oszustwa zajmuje się dzisiejszy sąd przysięgłych. Przed kratkami sądowemi stoją dwaj obwinieni: Szymon Mateles i Salomon Mateles — obaj bracia, obaj żydzi i obaj kulawi, pomijając wspólną obydwom także wartość moralną.

Obydwaj braci założyli sklep jubilerski. Szymon Mateles dał „do interesu" 1500 fl., Salomon zaś firmę, gdyż brat jego, nie mogąc się wykazać w praktyce żadnym „majstersztykiem", nie należał do cechu złotników i pozwolenia na własną firmę otrzymać też nie mógł. Salomon był tedy czeladnikiem u brata, gdzie równocześnie z nim pracował w warsztacie niejaki Salomon Laxberger. Potem dostąpił ten ostatni godności podróżującego (reisendera), wkońcu z wkładem 500 fl. przystąpił z braćmi do spółki. Laxberger wyjechał raz do Wiednia z 3000 fl, celem zadatkowania towarów tamże; wyjeżdżał kilkakrotnie potem do Galicji — wreszcie 31 sierpnia 1898 wyjechał i więcej się w kraju już nie pokazał.

Laxberger podawał spólnikom, że wszystkie pieniądze, uzyskane w podróży, obrócił na zadatki dalszych zakupów. Rachunków jednak nie przedkładał, tylko z pamięci kilka jakichś firm wymienił. Matelesowie uznali to za zupełnie wystarczające i pozwolili swemu komiwojażerowi na zabranie do Galicji towaru, celem odprzedania, aż za 6000 fl.!

Tu następuje okres wzajemnych matactw żydowskich. Firmy wiedeńskie zaczęły nadsyłać weksle wystawione przez Laksbergera z żądaniem wypłaty za towar. Komiwojażer wykręcał się, że tu w y j ą t k o w o nie zadatkował firmy, tam znów, że firma wymaga n a k a ż d y s p o s ó b wyrównania weksli, czyli inaczej zapłacenia za towar z góry.

Postępowanie takie sprowadziło upadłość firmy. Oskarżeni jednak zataili ten opłakany stan majątkowy przed władzami i nie zgłosili konkursu, oczywista rzecz na szkodę pokrzywdzonych firm. Nastąpiły doniesienia na Laksbergera; ten, jak się pokazało, znikł z widowni Krakowa a z nim jedna z „wesołych cór" Krakowa. Szymon Mateles twierdzi, że po zniknięciu Laksbergera i odkryciu defraudacji — już więcej nadsyłanych przez firmy towarów nie przyjmował.

Prokuratorja mimo tego podejrzywa, że cała ta ucieczka była z góry przez spółkę ułożona, a po naciągnięciu firm zysk był między wspólników podzielony. Długi firmy wynoszą około 11.000 złr. Gdzie zbiegły wspólnik bawi, tego ani władza ani listy gończe nie odkryły. Na nieobecnego winę całą zwalają podsądni.

Na ruchomościach spółki nie znaleziono odpowiedniego pokrycia. Prawdopodobnie więc majątkiem tym we trójkę się podzielili, a ponieważ szkoda wynosi więcej niż 300 złr. — zachodzi więc zbrodnia oszustwa.

Oskarżeni do winy się nie poczuwają i pomimo złej polskiej wymowy wykrętnie i sprytnie się tłomaczą.

Przesłuchiwanie trwa dalej. Trybunałowi przewodniczy r. Katyński. Wotanci: r. L. Klemensiewicz, dr L. Ujejski, oskarża dr W. Chwalibogowski, broni adw. dr W. Frühling.

Haniebna intryga. Donieśliśmy w sobotę o rzekomem zawiązaniu się między młodzieżą Uniwersytetu krakowskiego kółka, którego celem była organizacja antysemicka. Doniesienie to podaliśmy na podstawie listu, zawierającego także tekst odezwy, wydanej przez to rzekome kółko. W pospiesznej pracy redakcyjnej nie znaleźliśmy czasu na odczytanie tej odezwy, której tekst aż nadto jawnie nakazywałby ostrożność wobec nadesłanej nam informacji.

Sprawa dziś jest wyjaśniona. Odezwa została zredagowana w tonie, który musiałby ściągnąć na jej autorów prócz słusznego potępienia wszystkich rozważniejszych antysemickich żywiołów, także surowe kary już to ze strony władz uniwersyteckich, już też ze strony władz sądowych. Odezwa zawierała okrzyki: „Śmierć żydom!" i podżegała do rozruchów. Otóż okazało się na szczęście, że odezwa ta jest fikcją, powstałą z bezecnej intrygi grona studentów, należących do partji socjalno demokratycznej.

Nikczemni intryganci podpisali pod odezwą nazwiska tych kolegów, którzy nie tają swojej niechęci dla socjalno demokratycznego „Zjednoczenia" i mieli dość cywilnej odwagi, aby przeciwdziałać rozwielmożnieniu się wpływów socjalizmu między uniwersytecką młodzieżą. Poprzestawiano tylko imiona przy nazwiskach i włączono kilka nieakademickich nazwisk dla otworzenia sobie furtki, gdyby udało się wpaść na trop fałszerzy i denuncjantów. Najohydniejszem jest włączenie między te nazwiska także jednego ze studentów gimnazjalnych. Jakiś nieznajomy człowiek oddzwę tę rozrzucał po uniwersytecie, czynił to jednak tak sprytnie, że ani służba uniwersytecka ani nikt z akademików nie mógł go złapać.

Sprawa znajduje się już w rękach policji, która jest też w posiadaniu nazwisk tych szlachetnych młodzieńców, których zachowanie wobec odezwy zdradziło ich stosunek z całą brudną i haniebną intrygą.

W dniu dzisiejszym akademicy zadenuncjowani tak wstrętnie przez socjalistycznych kolegów, udają się do rektora uniwersytetu z prośbą o udzielenie sali na wiec, w celu roztrząśnięcia tej smutnej sprawy, świadczącej, jak bezgraniczny upadek moralny wnosi z sobą na uniwersytet żywioł socjalno-demokratyczny.

Bal w „Sokole". Sobotni bal Stow. katolickich robotników „Praca" wypadł nad wyraz świetnie. Zapewne nie spodziewano się w Krakowie, aby w szeregu licznych zabaw bieżącego karnawału ten właśnie bal, najskromniej może zakrojony, choć nie dorównie celem swoim jeden z najpiękniejszych, prześcignąć miał inne okazałością, powodzeniem i ochotą tańczących.

Niedawno z tego miejsca podnosiliśmy z prawdziwem zadowoleniem ważną przemianę w upodobaniach towarzyskiego życia sfer arystokratycznych, która coraz to wyraźniej zaznaczała się faktycznie w tegorocznym karnawale i z niemałą korzyścią dla robotniczej warstwy społecznej, która do niedawna jeszcze, pozostawiona na uboczu, cierpiała bardzo na tem odosobnieniu.

Tylko przez serdeczne zespolenie wszystkich warstw, oparte na szlachetnem i pełnem wyrozumienia zbliżeniu się jednych i dobrej wierze i woli drugich, utworzymy zastęp, zdolny skuteczny stawić opór rozwielmożniającym się wśród nas zgubnym prądom przewrotu.

Należało spodziewać się, że skoro ów upragniony zwrot istotnie wreszcie obudził się w społeczeństwie naszem, niebawem doczeka się on wybitnej publicznej manifestacji. Za manifestację taką przyjąć możemy sobotni bal w „Sokole".

Ktoś z wysoce kompetentnych zauważył na zabawie „Pracy", że świetniejszego poloneza nad ten, jaki na balu robotników w „Sokole" odtańczono, nie pamiętają z pewnością Krakowianie od lat dwudziestu. Poważny i świetny korowód par poprowadził z werwą i wytwornie wodzirej p. Bobalski, któremu za tego prawdziwie polskiego poloneza, należy się serdeczne podziękowanie.

Do poloneza, w którego pierwszej parze postępował prezes Związku katolicko-robotniczych Stowarzyszeń p. Stróżyński z panią szambelanową Leszkową Prus Wiśniowską, stanęły następujące dalsze pary: p. Leszek Prus Wiśniowski z księżną Cecylją Lubomirską, p. wiceprezydent miasta dr Karol Pieniążek z panią Stróżyńską, prof. poseł Milewski z panią Repetowską, p. Adam Konopka junior, prezes Akad. komitetu wykład. z hr. Stanisławową Tarnowską, p. Władysław Tarnowski z hr. Andrzejową Potocką, p. Jurjewicz z mecenasową Pieniążkową, pan Grodzicki z p. Pareńską, p. Rydyk z panią Bisztygową i t. d. Ogółem stanęło do poloneza przeszło 100 par.

Po polonezie zabrzmiały dźwięki walca, po walcu nastąpił kadryl odtańczony w 160 par.

Wśród półtysiącznego blisko barwnego balowego tłumu, w którym malowniczo odbijały się stroje krakowskie, góralskie, śląskie i węgierskie, zauważyliśmy najwybitniejsze rodziny i osobistości naszego grodu, wspomnę tu tylko hrabiów Potockich, Tarnowskich, Mycielskich, Dzieduszyckich, Roztworowskich; panie: Korytkową, Jaroszyńską, Skrzyńską, Sierakowską, Pareńską, Rogoską itd.; duchownych: Księży kanoników Łabaja, Bukowskiego, Flisa, Rylkę, ks Kluka; panów: Mecenasa Ludwika Szalaya, dra Juljana Prus Morelowskiego, p. Grodzickiego, Leszka Prus Wiśniowskiego, Piotra Górskiego, Wiktora Rydyka, wielu członków sodalicji marjańskiej panów i wreszcie in gremio członków akadem. komitetu balowego, który wspólnie z komitetem balu pełnił honory gospodarzy.

Wzorowy porządek na sali utrzymywał sędziwy p. Feliks Walery Piasecki, wczem dzielnie pomagali mu panowie Stróżyński i Repetowski, kierownik komitetu balowego.

Niemniej dzielnie spisywała się orkiestra 13 pułku pod batutą kapelmistrza p. Konopaska.

Bufet zaopatrzony obficie przez p. Turlińskiego, który znakomicie odpowiedział swojemu zadaniu, zadowolnił wymagania wszystkich.

Ochocza zabawa przeciągnęła się do godziny 8 rano, a do mazura białego stanęło jeszcze 80 par.

Spodziewać się należy, że wobec licznego napływu gości, dochód z balu przejdzie wszelkie pierwotne oczekiwania.

Na balu bialskim obowiązki gospodarzy raczyli przyjąć: pos. Binderowa, prof. Bossowscy, prof. Browiczowie, prof Fierichowie, ks. red. Flis, dyr. Horoszkiewicz, Giżycka, prof. Krzymuscy, prof. S. Odrzywolscy, prof. Pareńscy, drowie Śliwińscy, Szremer, drowie Ferd. Weiglowie, prof. Włodz. Tetmajer. Nadto komitet zaprosił: notar. Adamskich, St. Arniołowiczów, prof. A. Balasitsa. Kaz. Bartoszewicza, Karola Czecza, ks. prałata Chotkowskiego, red. Michała Chylińskiego, drów Dobrzańskich, Romana Dolińskiego, Marjana Dydyńskiego, Winc. Eminowicza, burm. Garbaczyńskiego z Podgórza, Ignacego Głażewskiego, Cyprjanów Godebskich (jun.), radc. Górskiego z Podgórza, Jana Götza-Okocimskiego, Kornelję Grabską, Hellerów, prof. Henr. Hoyera, prof. Macieja Jakubowskiego, Erazmów Jerzmanowskich, drów Kadenów z Rabki, Teresę Kamocką z Żywca, Bogusławów Kleszczyńskich ze Skrzeszowic, Ludom. Korczyńskich, dyr. Kotarbińskiego, Przemysława Kotarskiego, adw. Mich. Koya, dra Kwaśnickiego, hr. Ledóchowską, prof. J. Łazarskiego, drów Łopuszańskich, prof. I. Malczewskich, szambel. Małkowską, hr. J. Męcińskiego, inżyn. Miarczyńskich, hr. Romana Michałowskiego, prof. A. Miodońskiego, Zofję Miszkową z Wieliczki, prof. K. Olszewskiego, Franciszka Paszkowskiego, prof. Pawlika z Dublan, dyr. Ponikłów,

ks. Dominika Radziwiłła, dra W. Seidla z Mor. Ostrawy, adw. Serafińskich z Bochni, dyr. Skubę, Zenona Słoneckiego, drową Stiasnową z Białej, dra Wawrz. Stycznia, dra Świętka z Podgórza, Teodora Talowskiego, Witołda Turskiego, prof. A. Wierzejskiego, Ferdyn. Wilkosza, Konst. Wiszniewskiego, hr. St. Wodzickich, Marję Zakrzewską, Wład. hr. Zamoyskiego, dyr. Ludwików Zawiłowskich, Eks. Jul. Dunajewskiego, Ant. hr. Potockich, Ant. hr. Wodzickich.

Na cele balu bialskiego ofiarowali: prof. Bandrowscy 20 k., prof. Ekielski 10 k., Fronczowa 12 k., poseł Binder 20 k., posłowa Binderowa 20 k., Szarscy 20 k., adw. Gaweł 10 k., Bron. Krause 10 koron.

Bal na szkołę polską w Białej z powodu rozstrzelonej równocześnie zabawy w kilku ogniskach krakowskiego życia towarzyskiego, sprowadził w sobotę do sali Saskiej nieliczną stosunkowo publiczność.

Bal otworzył w pierwszej parze polonezem ks. prorektor Knapiński z p. Pareńską.

Ponieważ na zabawie zgromadziło się grono przeważnie dobrze sobie znajome, przeto ochoczo, jak rzadko, tańczono do późnego rana.

Zasłużony wodzirej p. Gincel dzielnie spełniał swoje zadanie. Dzięki jego pomysłowości i rutynie figurowe tańce szły niezmiernie składnie i gładko, przyczem mieliśmy sposobność zauważyć kilka wcale pięknych figur. Gustowne kwiaty kotyljonowe na wachlarzach ze sklepu pani Freegowej podobały się ogólnie.

Zaznaczyć również wypada z korzyścią dla restauracji hotelu Saskiego, że ceny, nieco wygórowane na poprzednich balach, tego wieczoru znacznie zredukowano.

Nekrologja. Amalja Remer, przeżywszy lat 68, zmarła w Krakowie dnia 18 b. m.

— Ludwik Gulkowski, oficjał I klasy magazynów wojskowych, przeżywszy lat 46, zmarł nagle w Krakowie dnia 17 b. m.

Teatr miejski w Krakowie.

Rodzina Benoitonów, komedja w pięciu aktach Wiktoryna Sardou, wznowiona w teatrze krakowskim dnia 17 lutego b. r.

Wymagania nasze są dość dziwne; niejednokrotnie dał się słyszeć zarzut, że dyrekcja nie otrzepuje z pyłu starych tomów teatralnej bibljoteki i nie probuje wskrzesić dawnych dobrych sztuk, które nas dawniej tak bawiły, wzruszały i zajmowały; kiedy zaś dyrekcja stosuje się do naszych życzeń i wydobywa z zapomnienia taką „Rodzinę Benoitonów“ naprzykład, wzruszamy ramionami, kiwamy głową z politowaniem i staramy się wmówić w siebie, że to tylko wybór był zły, ale żądanie nasze w zasadzie było najsłuszniejsze.

Oczywiście są lepsze stare sztuki, niż „Rodzina Benoitonów“ i z pewnością w teatrze Augiera i Dumasa syna, jeżeli już idzie o repertuar francuski, znalazłoby się łatwo coś godniejszego uwagi, a nawet mniej nieaktualnego niż morały o wychowywaniu dzieci z przed lat czterdziestu, które służą za tło dowcipnych karykatur Wiktoryna Sardou. Ale czy bylibyśmy więcej zadowoleni? Pozwalam sobie wątpić — i nie zachęcam bynajmniej dyrekcji do powtarzania tego rodzaju eksperymentów, przynajmniej w taki sposób, jak to się stało w sobotę.

Wznawiania są użyteczne i pożądane — ale nie mogą żadną miarą być dorywcze, przypadkowe, zarządzane na chybił trafił. Wyobrażam sobie, że zupełnie inaczej przełknęlibyśmy „Benoitonów“, że co więcej nawet zasmakowalibyśmy w nich, gdyby naprzykład jeden dzień w miesiącu, dajmy na to, pierwszy wtorek, czy czwartek każdego miesiąca, poświęcony był odnawianiu tego, co stare, według pewnego z góry ułożonego przez dyrekcję systemu. „Benoitony“, podane jako nowość, oczywiście muszą razić. Gdyby nam je podano w całym szeregu wznowień, dających obyczajowy obraz epoki drugiego cesarstwa, przedstawianych oczywiście w strojach ściśle przystosowanych do mody ówczesnej — nie mielibyśmy z pewnością dość słów uznania dla dyrekcji za tak mile spędzane artystyczne wieczory. Podobno tym razem dyrekcja myślała w istocie o strojach stylowych; zaoponowały przeciw temu panie teatralne, które się zlękły krynolin. Czy myślały, że będą wyglądać śmiesznie i brzydko? Tak, jakby pani Siennicka lub pani Bednarzewska, panna Sulima lub panna Jeremi mogły kiedykolwiek nie być zachwycające!

Treści „Benoitonów“ przypominać nie potrzeba; rodzinka zbogaconego handlarza materaców na sprężynach, tworząca szereg zwyrodniałych karykatur, zbyt dobrze utrwaliła się w pamięci wszystkich, co się choćby raz z nią zapoznali, aby potrzeba opowiadać, jak mały Fanfanek gra na giełdzie marek pocztowych, dobywa się do kasy ogniotrwałej ojca i upija się szampanem, jak cokolwiek starszy Teodule awanturami ulicznemi i pobytem w areszcie, stara się zarówno jak i artykułami o modach pod pseudonimem kawalera de la Roc-Pom Pon zwrócić na siebie uwagę świata; jak Formichel syn oszukuje Formichela ojca; jak pani Marta pożycza pieniądze od nieznajomego mężczyzny; panna Joanna „sypie perełkami“ stylu; panna Kamilla robi skandal z kuzynkiem, zachęconym przez starego Benoitona do pozbywania się skrupułów w interesach; jak Benoiton koresponduje z nimi przez gazety i jak kupuje nazwisko od pana de Champ Rosé; jak biedny Didier oderwany od robienia pieniędzy, podejrzywa żonę o wiarołomstwo i uspokaja się dopiero wtedy, gdy domniemany kochanek żony nie krzyczy na wiadomość o śmierci jej dziecka; jak wreszcie nad całym tym światem roztacza opiekę pani Klotylda, jako duch dobry, a stara Adolfina jako duch zły i intrygujący...

Krytykować dziś tego wszystkiego niepodobna; stary mistrz Sardou sam pewnie pobłażliwie kiwa już głową na wszystkie naiwności i słabe strony sztuki, mającej przecież na sobie nie jeden lwi pazur scenicznego majsterstwa.

Sztuka grana była bardzo dobrze. Pierwszeństwo należy się naturalnie pani Siennickiej, która umiała z roli Klotyldy zrobić przedziwną całość, pełną wdzięku i subtelności. Pozyskanie tej znakomitej, ze wszech miar pierwszorzędnej artystki, jest dla naszego teatru zdobyczą nieocenioną. Przekonaliśmy się o tem w ciągu tygodnia przy sposobności sztuki Przybyszewskiego „Dla szczęścia“, gdzie pani Siennicka od pierwszej chwili wspaniałego wejścia na scenę w akcie drugim i przez cały akt ostatni zdumiewa prostotą, z jaką wydobywa doskonałe efekta w tej wcale niedoskonałej, zupełnie frazeologicznej i nad wszelki wyraz czczej i banalnej roli.

W rolach męskich dawali świetny koncert: pp. Solski, Roman i Popławski; panowie Sobiesław i Tarasiewicz starali się całą siłą swoich talentów wydobyć ze swoich ról, o ile się da, jak najwięcej; zawiódł tylko trochę Theodule. Co do ról kobiecych, zadziwił nas pewien eksperyment, którego niestosowność była rażąca: oto pannie Walewskiej, która mogła była bardzo dobrze, z prawa swojej młodości i urody, grać którąkolwiek z córek Benoitona, kazano grać charakterystyczną Adolfinę.

Młoda artystka z poświęceniem poddała się próbie i wyszła z niej zupełnie zwycięsko. Jaki jednak z tego pożytek odnosi dyrekcja, która ma przecież obowiązek dbać o to, aby młode siły wyrabiały się we właściwym kierunku — to jest dla mnie niewytłomaczoną zagadką. Pani Bednarzewska grała Martę wybornie; panny Sulima i Jeremi wywiązały się ze swoich ról zupełnie poprawnie. *Fotel, nr. 24.*

Depesze południ. „Głosu Narodu“.

Ponowne walki Bullera.

Londyn 19 lutego. (*Tel. B. K.*). Biuro Reutera donosi z Chieveley pod datą 18 b. m: Kawalerja Dun-Donalda, poparta przez artylerję i piechotę, zabrała górę Huzarską i zajęła na niej silne stanowisko.

Rownocześnie jen. Lyttleton otoczył prawe skrzydło Boerów. Jen. Warren uderzył na lewe skrzydło armji boerskiej.

Boerowie oszańcowali się silnie na górze Hlangwane. Haubice angielskie przeszkodziły temu, aby Boerowie mogli otrzymać posiłki.

Piechota angielska utworzyła na górze Huzarskiej silny obóz i zadała Boerom wielkie straty. Boerowie cofnęli jedno działo przez rzekę Tugelę.

Londyn 19 lutego. *(Tel. B. Kor.)*. Z Chieweley donoszą z 18 b. m.: We czwartek rozpoczął jen. Buller niezmiernie silne bombardowanie nieprzyjacielskich stanowisk. Anglicy poparci przez ogień artylerji wyruszyli z góry Huzarskiej przeciw Boerom i zabrali pagórek Redbelt.

W piątek nieprzyjaciel usiłował wyprzeć Anglików granatami z góry huzarskiej, gdzie się znajdowała główna kwatera jen. Bullera. Dwie osoby tuż koło Bullera padły ranne. Walka trwała przez cały dzień. Wieczorem Anglicy zmusili Boerów do cofnięcia się.

Jen. Lyttleton manewrował na krańcu prawego skrzydła i zasypał ogniem granatów lyddytowych górę Monte Christo. Między Boerami są ogromne spustoszenia.

Po południu ciężkie działa Boerów zamilkły. Boerowie cofnęli się przez Tugelę. W piątek w nocy wojsko angielskie posunęło się na kilkaset yardów w górę.

Praga 19 lutego. (*Tel. B. Kor.*) Sytuacja strejkowa we wszystkich terytorjach niezmieniona. Wczorajsza niedziela upłynęła wszędzie spokojnie. Na zgromadzeniach mowcy wzywali robotników do wytrwania. W Osieku i w Cieplicach władza rozwiązała zgromadzenia z powodu podburzania. Dla braku węgla fabryki szkła w Bras, Heiligenkreuz i Wranowie zawiesiły roboty. 520 robotników jest skutkiem tego bez chleba.

Wiedeń 19 lutego. *(Tel. B. K.)*. *Wiener Sonn- und Montagszeitung* na podstawie pewnych informacyj twierdzi, że na sytuację nie można się zapatrywać różowo. Położenie jest prawie beznadziejne. Zarówno Czesi, jak Niemcy, obstają przy swych żądaniach.

Już pierwsze posiedzenie Izby będzie bardzo burzliwe. Obstrukcja Czechów będzie trwała w dalszym ciągu, a równocześnie bardzo ostro mają wystąpić przeciw rządowi socjaliści, z powodu załatwienia sprawy reformy wyborczej dla Wiednia w duchu antysemickim.

Rząd chce zaradzić temu w ten sposób, że już na pierwszem posiedzeniu przedłoży mnóstwo projektów ekonomicznej natury.

Sprawa prezydjum Izby przedstawia się w ten sposób, że Prade wejdzie na pewne do prezydjum, skutkiem czego nie będzie w prezydjum ani jednego Polaka.

Są usiłowania, by skłonić wice-prezydenta Lupula do rezygnacji; w takim wypadku wszedłby na jego miejsce Słoweniec, Czech lub Polak.

Rząd tamuje nowy projekt porozumienia poza konferencją, widząc, iż z konferencji żadnego rezultatu spodziewać się nie można. Projekt ten polegać ma na nowych rozporządzeniach językowych przy przywróceniu czeskiego języka w wewnętrznej służbie. Projekt ten odrzucają zarówno Czesi, jak Niemcy. Toczą się nad tą sprawą poufne obrady.

NADESŁANE.

Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też żadnej za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.

Zwracamy uwagę na Inserat Domu Rolniczo-produkcyjnego Ernesta Bahlsena w Krakowie, która to firma zyskała sobie uznanie, idące daleko poza granice naszego kraju.

Katalog, przesyłany przez firmę na życzenie opłatnie i darmo, zawiera oprócz starannego a bardzo obfitego doboru wszelkich nasion, dalej nawozów sztucznych, także wiele cennych wskazówek, jest zatem przy nadchodzącem zapotrzebowaniu polecenia godnym podręcznikiem.

Do dzisiejszego numeru dla prenumeratorów miejscowych dołącza się sprawozdanie Dyrekcji Banku chrześcijańskiego w Krakowie z czynności i zamknięcia rachunków za rok 1899.

Dyrekcja Banku chrześcijańskiego znajduje się pod l. 10 przy ulicy Jabłonowskich.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Ehrenberg. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.